

II/838



Do Armii Krajowej wstąpiłem w sierpniu lub wrześniu 1941 r., kiedy pracowałem już na stacji kolejowej w Tarnopolu. Wprowadzającym do tej organizacji był mój sąsiad u ul. Puntscherta-Leśniewski. Zatrudniony on był na poczcie w Tarnopolu w dziale telefonów. Do wojny w 1939 r. ukończył 2 lata politechniki. Mieszkał z matką i siostrą. Przysięgę /ślubowanie czy przyrzeczenie/ złożyłem w obecności kolejarza -mistrza drogowego Marszałka. Ten ostatni był starszy ode mnie ok. 15-20 lat. Cieszył się ogólnym poważaniem wśród kolejarzy stacji Tarnopol. Zarówno z powodu swej wysokiej fachowości, jak też ze względu na troskę o warunki pracy swoich podwładnych. Podlegało mu bezpośrednio 30 pracowników torowych. Tenże Marszałek opowiadał mi, że także w okresie władzy radzieckiej w Tarnopolu od września 1939 r. do czerwca 1941 r. znajdował się w polskiej organizacji podziemnej, ale -jak twierdził- niemożliwa była wówczas aktywna działalność. Ugraniczała się ona w istocie rzeczy do przekazywania treści audycji radiolondyńskiego.

Po kilku tygodniach od złożenia ślubowania spotkał się ze mną znany mi z okresu kursu nauczycielskiego z 1940 r. - Wolski i przedstawił mi w ogólnych zarysach strukturę organizacyjną AK w Tarnopolu i w powiatach: tarnopolskim, zbarazkim i trembowelskim. Na następne spotkanie (za tydzień) wraz z nim przyjechał pan w okularach, którego nazwiska dzisiaj nie pamiętam poza tym tylko, że kończyło się ono na "-ała". On też oświadczył, że został wyznaczony przez "górnego" do stałych kontaktów ze mną. Otrzymałem zadanie rozszerzać strukturę organizacyjną AK na terenie Tarnopola i na obszarze wymienionych już wyżej trzech powiatów. Co kilka tygodni panu temu składałem pisemne meldunki tak zwane OB (Orde de batalione). Kazano mi przybrać pseudonim zaczynający się na literę "W", gdyż na zajmowanym przeze mnie stanowisku obowiązywał system takiej postaci pseudonimów. Przybrałem sobie pseudonim "Wiesław" /dla niejako tylko dla przełożonych/ i pseudonim "Zbigniew" /dla podkomendnych/.

Miałem ułatwione warunki do pracy konspiracyjnej, gdyż pracowałem w rozkładzie służby ruchu. Po 12 godzin pracy i po 24 godzinach odpoczynku. Poza tym - jako pracownik służby ruchu - miałem przepustkę uprawniającą do poruszania się w godzinach nocnych o obręb domu i stacji kolejowej. Oprócz tego mogłem korzystać z bezpłatnego biletu kolejowego. Jeździłem więc do Trembowli, Zbaraża, Mikuliniec, Czortkowa, Złoczowa, Brodów, Lwowa i do Krakowa (w Krakowie mieszkał wówczas mój starszy brat - Piotr) oraz do innych miejscowości znajdujących się wzdłuż linii kolejowych.

W pierwszym rzędzie wciągnąłem do organizacji moich kolegów - podchorążych zawodowych z Komorowa-Ostrowi Mazowieckiej, a to: Piotra Chabina z Młuboczka Wielkiego (mieszkającego wówczas w Tarnopolu i pełniącego funkcję dowódcy kompanii w Baudienscie; ale o Baudienscie jeszcze osobno poniżej powiem), Tadeusza Trojana (pracującego wtedy w gospodarstwie swego krewnego w Gajach obok Tarnopola) i Stanisława Wojtkiewicza z Trembowli (pracującego w tym czasie na stacji kolejowej Berezowica Wielka, oddalonej o 4 kilometry od Tarnopola). Poza tym kolegów gimnazjalnych (podchorążych rezerwy) Władysława Dejnę zatrudnionego na stacji kolejowej w Borkach Wielkich i pochodzącego z tejże miejscowości, Mariana Pulkę ze wsi Bajkowce - pracującego początkowo na folwarku w Bajkowcach a następnie na stacji kolejowej w Tarnopolu a także Aleksandra Koreniuka - młodszego ode mnie kolegę gimnazjalnego. Należy w tym miejscu dodać, że ten ostatni wykazywał ogromną odwagę przy wykradaniu pistoletów maszynowych i granatów z plecaków żołnierzy niemieckich, węgierskich i rumuńskich, których transporty zatrzymywały się dłużej na stacji Tarnopol. Wtedy żołnierze składali swoje plecaki w przechowalni bagażu lub wprost w słabo strzeżonej poczekalni dworcowej dla żołnierzy i sami udawali się do kuchni polowej na posiłki lub na krótko do miasta. Kuchnia polowa była czynna stale dla żołnierzy jadących na front i wracających z frontu. Obsługiwały ją tegie dziewczęta niemieckie z Czerwonego Krzyża. Ciekawe - nigdy nie widziałem jakiegokolwiek nawet połuśmiechu na twarzach tych dziewcząt. Decydowanie odmawiały przy tym łyżki zupy każdemu proszącemu, jeśli nie był żołnierzem. Resztki z kotłów wyrzucały psom.

Aleksandrowi Koreniukowi w wykradaniu uzbrojenia prawie że dorównywał Stanisław Przywięda, przedwojenny student Wydziału Prawa Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie. Przywięda, wraz z 4-ma braćmi, pracował razem z nami na tej stacji. Sprawnym pomocnikiem Koreniuka i Przywiędy był w tym czasie młody ko-

lejarz kurzemski.

Kontaktujący się ze mną pan, którego uważałem zresztą za swego przełożonego (przed czym on się wzbraniał, gdyż strzał się nadac naszym stosunkom charakter koleżeński) zapoznał mnie z młodszym Szlagorem (starszy jego brat pracował w charakterze gońca na stacji Tarnopol) dowódcą (?) KEDYW-u, chorążym Żabskim (zamieszkałym przy ul. Tatarskiej), który prowadził wykazy transportów samochodowych jadących na Wschód, dowódcą AK w Zbarażu - Kzeźnikiem i innymi, których nazwisk już nie pamiętam. Ze strony organizacji kobiecej AK - to zgłosiły się do mnie: pani Welc (młoda, szczupła o rudawych włosach) i pani Smolińska-Brylińska (ze wsi Płotycz czy Cebrów powiatu tarnopolskiego) nauczycielka. Jeździła ona po wsiach i organizowała drużyny (patrole) kobiece oraz instruuowała je w zakresie służby sanitariuszowskiej. Cechowała ją odwaga i ofiarność. Poza nimi - Dziurzyńska, młoda maturzystka, która pracowała w charakterze sprzątaczk w Kolejowej Inspekcji Budowlanej w Tarnopolu. W kolejowym dziale ruchu zatrudniona była ówczesna moja bratowa Jadwiga Paliwoda, z domu Paradiuk. W organizacji AK zajmowała się ona kolportażem Biuletynów, gazetek i innych druków. Zarówno z panią Smolińską-Brylińską jak też z bratową Jadwigą szeroko na co dzień aktywnie współdziałała moja młodsza siostra Maria. Od czasu do czasu hamowałem jej brawurę, szczególnie w okresie intensywnego zaopatrywania w broń skupiska ludności polskiej w 1943 r. przed napadami band banderowskich. Bywałem też często w domu dentystki Grabowskiej przy ul. Tatarskiej (nieopodal domu chorążego Żabskiego w domu Grabowskiej mieściła się tzw. skrzynka kontaktowa, którą opiekowały się będąca już w podeszłym wieku Maria Friedbergowa (była właścicielka folwarku we wsi Bajkowce) i Irena Kłos, maturzystka, córka sołtysa z Bajkowiec Tomasza Kłosa, zwanego Baranem.

Podczas bytności (jednej z licznych) w mieszkaniu Wolskiego (znajdującego się wówczas w części miasta zwanej Zarudziem) poznałem majora Marczewskiego. Mieszkał on o kilka domów od mieszkania Wolskiego przy rodzinie swej narzeczonej (chyba młodszej od niego o 25 lat), z którą wkrótce się ożenił. Wraz z nią znalazł się na wiosnę 1944 r. w Ludowym Wojsku Polskim. Onkx to uprowadził w j sieni tego roku dowodzony przez siebie batalion (zdaje się, że 27 pułku piechoty) do lasu, a otoczony później i rozbrojony stanął przed sądem polowym. Żołnierze tego batalionu zostali skierowani do karnej kompanii. Spotkałem się z nimi późną jesienią tego roku w Woli Karczewskiej koło Otwocka, gdyż karne kompanie znajdowały się w sąsiedztwie miejsca zakwaterowania 3-go Zapasowego Pułku Piechoty, w którym wówczas ja służyłem.

Z aktywnych organizatorów AK-owskich w terenie na czołowe miejsce należało nadto ustawić takich ludzi jak Piotr Owsiany ze wsi Bajkowce, Jan Świrski ze wsi Stechnikowce, kilka osób o nazwisku Wojewoda ze wsi Czernichów czy Feliks Kłos ze wsi Łozowa (o tej wsi nadmienia H. Sienkiewicz przy opisie obrony Zbaraża w "Ogniem i mieczem"). Ale obok nich w każdym skupisku ludności polskiej działały dziesiątki i setki Polaków, których nazwiska uległy zapomnieniu, a ich czyny niekiedy naprawdę bohaterские, poszły już w nieodwracalną niepamięć. Czas nieubłaganie robi swoje, a to już prawie pół wieku od tamtych lat!!!

Działalność organizacji AK - to zbieranie informacji o ruchach wojsk niemieckich i ich sojuszników, pomoc Żydom, nawiązywanie kontaktów z jeńcami radzieckimi, francuskimi, a potem włoskimi. Jeńcy kwatrowali w koszarach byłego dywizjonu artyleryjskiego na Zarudziu. Nie dotyczy to jeńców radzieckich, których hitlerowcy przetrzymywali (w ogrodzeniu) na czystym polu aż do ich śmierci w wyniku głodu i zimy. Bronili się zdrowsi z nich przed śmiercią przez zjadanie trawy i zesłych liści a także przez wkładanie słomy pod koszule i spodnie, a także zamarznąć. W ten sposób przedłużali swoje życie o tydzień lub dwa, a nigdy dłużej.

akowska organizacja kobieca w Tarnopolu w kilku przypadkach udzieliła pomocy w ucieczce żołnierzom pochodzenia polskiego z armii hitlerowskiej. Jedną w jednym przypadku żołnierz Wehrmachtu - Ślązak, skierowany do Zbaraża pomylił adres i wszedł do domu Ukraińca, który niezwłocznie oddał go w ręce Gestapo.

Najszerzej i moim zdaniem najskuteczniej działalność organizacji AK-owskiej obwodu tarnopolskiego przejawiała się w tzw. małym sabotażu na kolei na skutek niedokręcania sprzęgieł w pociągach, uszkodzenia hamulców i ich zapowietrzanie itp. Skala tego sabotażu była bardzo szeroka. W zasadzie w każdej dziedzinie działalności członkowie organizacji czynili szkody okupantowi (m.in. na poczcie kradziono przesyłki adresowane do Niemiec, w biurach ewidencji ludności fałsz

ważę listy osób uprawnionych do kartek żywnościowych itp).

A teraz czas powrócić do Baudienstu. Otóż do tej organizacji Niemcy powoływali mężczyzn-Polaków w wieku 16-18 lat. Zorganizowana była ona na wzór wojskowy. Baudienst w Tarnopolu liczył ok. 500 ludzi. Był to mniej więcej batalion. Dowodzony był przez Polaków (oczywiście zwierzchni nadzór i kontrola należała do Niemców). Dowódcą jego był Michał Horwath-mój dobry i wieloletni znajomy. Pochodził z Gajów spod Tarnopola. Przed wojną w 1939 r. ukończył dwa lata Wydziału Prawa na uniwersytecie we Lwowie. Jednym z dowódcą kompanii tego Baudienstu był podchorąży zawodowy Piotr Chabin, o którym uprzednio już wspominałem. Cała kadra dowódcza i-jak sądzę-ogromna większość junaków, jeśli nie wszyscy należała do AK. Dowódcy pododdziałów wykorzystywali w pełni wojskowy charakter Baudienstu i w czasie powrotu z pracy do miejsca zakwaterowania (budynku nieczynnej polskiej szkoły podstawowej im. Konarskiego, znajdującego się w sąsiedztwie kościoła Jezuitów) przerabiali ćwiczenia z musztry. Zawsze maszerując przez miasto w zwartym szyku śpiewali wojskowe polskie piosenki. Sam zjawiałem się wielokrotnie po wieczornym apelu (gdy ubezpieczenie zaszyfrowało już nieobecność Niemców, zresztą nielicznych, bo tylko magazyniera żywnościowego i głównego księgowego) wtedy ja informowałem ich o sytuacji na frontach, o położeniu ludności polskiej i o działalności podziemnej ~~w~~ w oparciu o wiadomości zawarte w prasie podziemnej. Członkowie Baudienstu pracowali przy budowie ogromnej zajezdni kolejowej w miejscowości Biała, jaka oddalona była o 3 kilometry od Tarnopola. W planach Niemców leżało wybudowanie czterotorowej linii kolejowej łączącej Berlin z Baku, a dalej przez Bagdad do Bombaju w Indiach (tak zwana linia 4xB). Oczywiście po zwycięskiej wojnie. Ponieważ Piotr Chabin żyje i czuje się dobrze /Jego adres: ul. Bossak-Hauke 28 m. 8, 50-447 Wrocław/, przeto proponuję nawiązanie z Nim kontaktu i uzyskanie dzięki temu obszerniejszych relacji o Nim samym a także o Michale Horwathcie oraz o Baudienście. Posiadam przy sobie nawet fotografię z czerwca 1971 r. na której jesteśmy przedstawieni wraz z naszymi żonami podczas moich odwiedzin Horwathów w ich domu we Wrocławiu. Po kilku latach -Michał Horwath zmarł.

Początek 1943 r. przyniósł nowe zjawisko dla ludności polskiej i organizacji AK w tarnopolszczyźnie. Otóż województwo tarnopolskie stało się terenem eksterminacyjnej działalności ludności polskiej ze strony nacjonalistów ukraińskich, których zbrojne oddziały przesuwały się z Wołynia na obszar tzw. Małopolski wschodniej (województwa: tarnopolskie, lwowskie i stanisławowskie). Na Wołyniu do-

konali już tam rzezi kilkudziesięciu tysięcy Polaków. Pragnę w tym miejscu nadmienić, że w styczniu 1943 r. otrzymałem awans na podporucznika. Pod nominacją na ten stopień figurował podpis dowódcy okręgu o pseudonimie "Słońce".

Wracając natomiast do sytuacji jaka powstała z początku tego roku na terenie mojego obwodu-to zjawisko spontanicznego organizowania samoobrony przez wszystkie skupiska ludności polskiej we wsiach i miasteczkach. W miastach natomiast Polacy czuli się bezpieczni, gdyż oddziały nacjonalistów ukraińskich nie odważyły się atakować większych ośrodków, w których z zasady znajdowały się oddziały policji niemieckiej albo mniejsze oddziały wojska. Członkowie AK starali się kierować samoobroną, stawać na czele oddziałów zbrojnych w poszczególnych miejscowościach i przodowali w zabiegach o zdobycie broni chociażby w postaci jednego karabinu i kilku pistoletów. Ja sam bezpośrednio organizowałem samoobronę we wsiach: Czernichów, Cebrow i Łozowa w powiatach zbarazkim i tarnopolskim. Chodziło tu o wytypowanie budynków z piwnicami na schrony dla kobiet i dzieci w wypadku napadu band, zorganizowania ubezpieczenia i sygnalizacji, maskowania schowków broni i amunicji ~~z~~ przed ciągłymi rewizjami policji ukraińskiej itp. Muszę w tym miejscu stwierdzić, że zorganizowane w ten sposób samoobrony tylko w małym stopniu minimalizowały liczbę morderstw w czasie napadów banderowców w jesieni 1943 r. na wieś Czernichów i wieś Łozową, gdyż przewaga liczebna band i siła ich ognia były przetłaczające w zestawieniu z siłami samoobrony w tych wsiach. Po każdym takim napadzie ludność polska, która uszła z życiem, przez kilka dni nie wychodziła z ukrycia. Bała się powtórzenia rzezi, co zdarzało się w wielu przypadkach. Pamiętam kiedy dowiedziałem się o napadzie na wieś Łozową i następnego dnia pieszo torem kolejowym (nieczynnej już linii kolejowej łączącej Tarnopol ze Zbarazem i Łanowcami) samotnie, uzbrojony tylko w mały pistolet i nóż przybyłem do Łozowej, to robiła ona wrażenie zupełnie wymarłej. Nie było nawet tam żywego śladu psa, które uprzednio policja ukraińska wybiła ~~z~~ pod pretekstem wcieklizny. W istocie rzeczy chodziło o ^zmożliwienie zaalarmowa-

niaprzez psy większej grupy obcych ludzi we wsi. Chodziłem samotnie po tej wsi od jednego domu do drugiego i wywoływałem po nazwisku znanych mi mieszkańców (m.in. Haraka, Kanasa i innych), lecz nikt nie odezwał się i nie wyszedł z rozbitych domów lub ze spalonych gospodarstw. Dopiero po dwóch godzinach siedzenia naprogu domu Feliksa Kłosa, ten około północy zjawił się, gdy upewnił się, że jestem sam i po głosie oraz mojej sylwetce poznał mnie. Uprzednio bał się, czy aby nie był to wywiadowca banderowski. Poinformował mnie wówczas o szczegółach napadu. Dokonali go banderowcy wczesnym wieczorem, wtedy mieszkańcy wsi krzatali się jeszcze po swoich obejściach, a samoobrona miała rozpocząć czuwanie dopiero za kilka godzin. Wymordowanych zostało wtedy ponad 60 osób i spalono 15 gospodarstw. Podobna sytuacja miała miejsce w Czarnichowie, dokąd przybyłem już nie sam, lecz z 20-osobowym oddziałem samoobrony z Cebrowa. Także i tam nie spotkaliśmy w nocy nikogo w domu. Tylko na stołach lub ławkach w wielu domach leżały zwłoki pomordowanych, a przy tym potwornie ~~w~~ w większości zmasakrowanych, które miały być następnego dnia pogrzebane. Dopiero po pewnym czasie zjawiła się jedna kobieta o nazwisku Wojewoda (synowa czy córka przedwojennego ~~w~~ senatora i ona opowiedziała nam o przebiegu mordu. Banderowcy przed napadem gromadzili się w tym przypadku przez kilka dni na plebanii tamtejszego księdza grecko-katolickiego oraz w cerkwi. Było ich około pięćdziesięciu, ale posiadali doskonałe uzbrojenie, w tym granaty zapalające i dwa karabiny maszynowe.

Organizacja AK w moim obwodzie od początku 1943 r. aż do wkroczenia Armii Radzieckiej w marcu 1944 r. postawiła sobie za główne zadanie obronę życia każdego Polaka. Nie można było postąpić inaczej w tamtym czasie, gdy bandy nacjonalistów ukraińskich paliły wsie polskie, gdy mordowały każdego Polaka, kiedy życie każdego z nich zależało nieraz od szczęścia, od znalezienia dobrego schowka w czasie napadu lub posiadania starego karabinu ~~lub~~ kupionego od Niemca pistoletu, gdy wró dokonywał zbiorowych eksterminacji. Ponieważ na wsi w tymczasie pozostawał tylko chłop polski, opuszczony w wielu przypadkach nawet przez swych księży (np. w Trembowli w parafii przesiadywało wówczas ponad 30 księży z okolicznych parafii wiejskich, którzy uciekli do tego miasta; to samo miało miejsce w Tarnopolu i w Zbarażu, a także w Skałacie, Czortkowie, Grzymałowie i in.) dlatego nasza organizacja zalecała w drugiej połowie 1943 r. skupianie się w niektórych wytypowanych wsiach i miasteczkach stanowiących większe zbiorowości ludności polskiej.

Ogromnym smutkiem napawały mnie widoki idących od wczesnej wiosny do późnej jesieni 1943 r. z Wołynia na południe drogami Zbaraż-Tarnopol, Tarnopol-Tremboła, Zbaraż-Złoczów, Arzemiesz-Złoczów, Krzemiesz-Brody samotnych kobiet prowadzących z sobą krowę jedną lub dwie. Były to pojedyncze osoby, którym udało się ocalić od śmierci podczas rzezi banderowców. Prawie każda z nich była naszym świadkiem dokonywanych mordów na członkach ich rodzin i spopieleniu ich gospodarstw. Szły na południe porażone bólem i lękiem, otępiałe i z postradany na pół zmysłami. Trudno było nawiązać z nimi rozmowę. Zresztą lękały się, czy a zagadujący je nie jest Ukraińcem. Nie wstępowały do żadnego domu. Żyły mlekiem krow, które prowadziły a także kawałkami chleba dawanymi im przez życzliwe osoby. Po drodze nierzadko policja ukraińska odbierała im krowy (i cielęta jeśli były), a ich samych napędzała do Arbeitsamtu w najbliższym mieście lub sama policja doprowadzała je przymusowo do takiego urzędu w celu wysłania ich najbliższym transportem na roboty do Niemiec. Kto widział twarze i oczy tych kobiet, z pewnością ich wyrazu nie zapomni nigdy. Spośród tych wędrujących niedobitków mordów nie było ani dziecka ani żadnego mężczyzny. Z tych kategorii ludzi nik w rodzinach tych kobiet nie ocalał.

Wskazane w tym miejscu wspomnieć jeszcze o układach społeczno-narodowościowych w organizacji władz i urzędów w tzw. dystrykcie Galicja. Obejmował on swym zasięgiem trzy województwa Polski sprzed września 1939 r., a to: lwowskie, tarnopolskie i stanisławowskie. Otóż opanowanym w zupełności przez Niemców był urząd gubernatora dystryktu we Lwowie i urzędy powiatowe w terenie. Policja znajdowała się z kolei w rękach Ukraińców. Do Ukraińców - i to wyłącznie - należała władza we wsiach, miasteczkach i miastach (a więc rady wiejskie i sołtysi, rady miejskie i burmistrzowie oraz aparat wykonawczy - tak zwane magistraty). Polacy natomiast mieli opanowaną kolej, pocztę w miastach i miasteczkach (ale nie we wsiach, gdyż zarządzili niepodzielnie Ukraińcy) oraz administrację lasów i folwarków, a także instytucje finansowe (urzędy ~~skarbowe~~ skarbowe). Trzeba tu dodać, że - jak wiadomo - sieć kolejowa w Galicji była bardzo gęsta. Pochodziła ona z czasów przed I wojny

światowej. Rozbudowała je Austria dla celów strategicznych w przewidywaniu wojny z carską Rosją, a nie ze względu na potrzeby ekonomiczne ówczesnej Galicji, w której panowała wówczas przysłowiowa nędza galicyjska. Organizacja AK wykorzystywała tę sieć w bardzo szerokim rozmiarze. Przez telefony i telegrafy kolejowe nadawane były rozkazy, polecenia i meldunki (nierzadko w ogóle nie szyfrowane), a przede wszystkim informacje o sytuacji w terenie. O każdym napadzie na polską wieś, leśniczówkę lub poszczególne rodziny polskie a także o innym ważnym wydarzeniu szedł szybko meldunek do stacji kolejowej w Tarnopolu, w której dyżurnymi ruchu i pracownikami telegrafu byli członkowie AK. Także ludność polska napadana przez przeważające siły banderowców uciekała często do najbliższej stacji kolejowej w poszukiwaniu ochrony. O tym bez mała wszyscy wiedzieli, a w szczególności Polacy w mieście i na wsi. Także w administracji lasów i folwarków znalazło pracę i schronienie wielu Polaków jak np. nauczyciele zlikwidowanych polskich szkół średnich, pracownicy byłych urzędów powiatowych i urzędów wojewódzkich itp. Tam też kierowano Żydów uciekinierów z gett oraz dyzerterów z armii niemieckiej. W takim jednym przypadku opisuję w swoich wspomnieniach, jak przygotuję w przyszłości do druku. Dotyczył on mego nauczyciela gimnazjalnego Żyda-Leona Meersanda i jego żony oraz córki.

W końcu 1943 r. niespodzianie został zaaresztowany Wolski. W kilka godzin po tym fakcie powiadomiła mnie o nim jego żona. Następnego dnia poinformowano mnie abym przygotował się do objęcia funkcji po nim. Jak zorientowałem się, że chodzi tu o współpracę czy wręcz kierowanie cywilną administracją podziemnego państwa, gdyż dotychczas ja działałem w organizacji wojskowej. W najbliższym czasie miałem spotkać się ~~z~~ ze starostami wyznaczonymi przez rząd londyński i innymi działaczami polskiego podziemia politycznego. Do spotkania ze starostami w komplecie nie doszło. Zjawił się w moim mieszkaniu w umówionym terminie tylko starosta z Trembowli-Garstka, naczelnik stacji kolejowej w tym mieście. Ociągał się z udzieleniem mi informacji m.in. o otrzymanych funduszach z Londynu, o zasięgu jego pomocy najbiedniejszym rodzinom polskim itp. Byłem przekonany, że nie powiedział mi wszystkiego. Byłem dla niego nowym człowiekiem, stąd chyba ta nieufność lub nawet lęk. Zresztą był to początek 1944 roku.

W miesiącu styczniu lub z początku lutego 1944 r. doszło natomiast do spotkania z kilkoma (sześcioma) osobami, które przedstawiały się jako członkowie cywilnego kierownictwa politycznego, (upoważnieni przez władze Polski podziemnej). Spotkanie znowu odbyło się w moim mieszkaniu. Znajdowało się ono przy ul. Punt-scherta 12 (obok dworca kolejowego) w kamienicy, do której bez przerwy wchodził i wychodził ludźmi oczekujący na pociąg, ale nie chcący zbyt rzucić się w policji kolejowej. Woleli przeto oczekiwać w korytarzu i na schodach kamienicy. Z tego powodu moje mieszkanie było względnie bezpiecznym miejscem spotkań konspiracyjnych. Wskazane tutaj dodać, że dwie osoby uczestniczące w wymienionym wyżej spotkaniu były mi znane z racji narad kierownictwa (niejako sztabu) samej obrony, jakie powołałem z początku 1943 r. z inicjatywy dowódców AK z większych skupisk ludności polskiej i przy pełnym poparciu moich przełożonych, a także Wolskiego. Na tym spotkaniu podjęliśmy decyzję o potrzebie a nawet konieczności: pozostania na miejscu aż do wkroczenia Armii Radzieckiej i kontynuowania opieki nad ludnością polską, a następnie wstąpienia w szeregi Armii Polskiej w ZSI.

W połowie marca 1944 r. Niemcy, przygotowując obronę Tarnopola przed Armią Radziecką, ewakuowali całą w zasadzie ludność miasta. Kazano jej iść na zachód. Niektórzy z mieszkańców ewakuowali się ostatnimi pociągami jadącymi do Lwowa drogą okrężną przez Potutory.

Ja z grupą mieszkańców ulic położonych koło dworca kolejowego opuściłem miasto 19 marca 1944 r. i udałem się do wsi Chodaczków Wielki, położonej 15 km na zachód od Tarnopola. Po kilku dniach wieś ta została zajęta przez wojska radzieckie, a sam Tarnopol bronił się jeszcze przez kilka tygodni. W Chodaczkowie Wielkim zatrzymałem się w domu miejscowego dowódcy AK-Gorczyca, a gdy w jego mieszkaniu ulokował się radziecki wojskowy warsztat krawiecki, to przenieśliśmy się do mieszkania zastępcy Gorczyca - Bienia. Następnego dnia po przybyciu do Chodaczki - spotkałem Wolskiego. Powiedział mi, że na dwa dni przed ewakuacją ludności miasta, a więc 17 marca został zwolniony z więzienia. Przez cały czas pobytu tam był w gestii wyłącznie policji ukraińskiej, a nie niemieckiej. Miałoby to oznaczać, że Niemcy mogli nawet nie wiedzieć o jego uwięzieniu. Przesłuchującym go policjantom chodziło o ujawnienie przez niego innych osób z kierownictwa AK w Tarnopolu. Nalegali i szantażowali, ale nie maltretowali go. O tym, że

zajmował on w AK jedną z kierowniczych funkcji przesłuchujący go doskonale wie-
dzieli. Odniósł wrażenie, że ludzie ci myślami byli już gdzie indziej i zajęci
własnym losem wobec zachodzących zmian i zbliżającej się klęski Niemiec. Wypu-
szczający go z więzienia policjant ukraiński radził mu uciekać na zachód. Ale
Wolski, jak wynikało z jego rozmowy, zdecydowany był wstąpić ze mną i innymi do
Armii Polskiej w ZSRR i podczas licznych rozmów z ~~innymi~~ Polakami w Chodaczko-
wie radził im postąpić w podobny sposób.

Mniej więcej po tygodniu od zajęcia Chodaczkowa Wielkiego przez Armię Ra-
dziecką został zarządzony pobór do wojska. Po kilku dniach od ogłoszenia poboru
w grupie mężczyzn liczącej około 150 osób narodowości polskiej ze wsi Chodacz-
ków wyruszyłem w pięciodniowy marsz w okolice miasteczka Jampol w obwodzie
żytomierskim. Na punkcie zbornym we wsi Worobiejkówka koła Jampola znajdowało się
już kilkanaście tysięcy Polaków z województwa tarnopolskiego. Był tam major Mar-
czewski z żoną i mój bezpośredni przełożony, a zarazem łącznik z dowództwem ok-
ręgu AK (był on -jak okazało się- w stopniu podporucznika), ale nie było Wolski-
-go. Nikt też ze znajomych nie mógł udzielić informacji co spowodowało jego
nieobecność wśród nas. Dziwiliśmy się wszyscy, gdyż znaliśmy jego zamiar i chęć
wstąpienia do Armii Polskiej w ZSRR. Nie było także z nami Szlagora ani Rzeźni-
ka ze Zbaraża. Natomiast prawie w komplecie byli tam podchorążowie zawodowi (ni-
-którzy wraz z żonami) z Tarnopola i jego okolic.

W połowie kwietnia 1944 r. podstawiono pociąg i cały punkt zborny z Worobie-
jówki wyjechał -przez Szepietówkę, Korosten, Kijów, Nizyn, Bachmach i Białopole- do
Sum, Jazda trwała długo-osiem dni. W Sumach ośrodek formowania Armii Polskiej
znajdował się w zabudowaniach dawnej carskiej szkoły kadetów, położonych na kra-
cu miasta, nad stromym brzegiem rzeki Psioł. Wkraczających na teren ośrodka witał
napis "Witajcie żołnierze Ludowego Wojska Polskiego, wczorajsi bojownicy Polski
Podziemnej". Zostałem przydzielony do 3-go Zapasowego Pułku Piechoty na stanowis-
ko dowódcy plutonu granatników w 2-gim batalionie moździerzy. Otrzymałem sto-
pień chorążego. Z powodu braku dokumentu ~~o~~ świadków nie mogłem uzyskać ~~stopnia~~
wówczas stopnia podporucznika. Nastąpiło to trochę później.

Po wstąpieniu w szeregi wojska -przerwałem wszelką działalność w AK. Tak też
postanowili postąpić moi koledzy -podchorążowie zawodowi będący ze mną wówczas
w Sumach.

Josef Paliwoda
Josef Paliwoda

P.s. Ponieważ Pan w toku pierwszej ze mną rozmowy użalał się na brak in-
formacji o działalności AK w Złoczowie, to podaję, że jeden z punktów
kontaktowych w tym mieście znajdował się w domu szewca Niemczyckiego
(posiadał on dwie córki nauczycielki, zresztą bardzo urodliwe).

J.P.